

PAWEŁ MARGUERITTE.

## CZARNA KSIĘŻNICZKA

17

Ciąg dalszy.

Lecz pan Mitre trzymał oczy utkwione w Gizeli; twarz jego zbladła trupio. Dziecko spoglądało na niego niepewne i wzruszone.

Zawołał:

— Magdaleno!

Dziewczynka odpowiedziała:

— Tatko!

I już byli przy sobie, obejmując się rękami.

Pan Mitre zadyszany, rozczulony, zwrócił się do zadziwionej Joanny:

— Odrzuć zobaczyłem, że to ona!

I całując swą córkę, mówił:

— Teraz już mnie nie opuścisz!

W chwili tej Maurycy Le Chars otworzył drzwi od swego gabinetu i na progu ukazała się uśmiechnięta pani de Pre-Hautre.

Widząc córkę swą w objęciach pana Mitre, stała się jak porażona gromem, zapanowała jednak nad sobą i zawołała:

— Gizelo!

Pan Mitre odezwał się wtedy do konsula.

— Widzę, że żona moja uprzedziła mnie, lecz panie konsulu...

— Pańska żona?... — rzekł zdziwiony Maurycy Le Chars.

Więc to jest ten okrutny mąż, tyran, ten olbrzym, barbarzyńca, jak go opisała pani de Pre-Hautre. Ten biedny bez sił człowiek jest tym katem?

Joanna, która nie zważała się ani chwili, lecz od razu uwierzyła w szczerść opowiadania pana Mitre, wobec tego spotkania niespodziewanego zwróciła uwagę:

— Zdaje mi się, że pan zechce rozmówić się z mym mężem i panią de Pre-Hautre bez świadków. Proszę mi zawierzyć córkę na te kilka minut, może pan być o nią spokojny.

Lecz pan Mitre, może się obawiał, że mu znowu porwą dziecko, rzekł patrząc na swą żonę:

— Dwa słowa starczą, a mogę je powiedzieć głośno.

— To zbyteczne Edgardzie! — pospieszyła oznajmić pani de Pre-Hautre. — Ponieważ iesteś tutaj i domagasz się swej córki, mając za sobą prawo, ja ustępuję.

Uznała spór za bezcelowy. Przed chwilą konsul wyznał jej szczerze, że sprawa ta przedstawia się dla niej niekorzystnie.

— Mamusiu — zawołała Magdalena — proszę nie odchodzić!

— Trudno, moja Gizelo, zobaczymy się wkrótce. Uściskaj mnie.

Dotknąwszy się lekko czoła córki, wyszła pospieszenie, po złożeniu ukłonu z wielką godnością państwu Le Chars.

Pan Mitre, trzymając rękę na piersiach, oddychał ciężko. Zrobił krok naprzód, by wziąć swą córkę i wyjść, lecz siły go zawiodły i zachwiał się.

— Tatku, tatku drogi! — zawołała Magdalena, obejmując go rękami.

Pan Mitre wyszeptał słabym głosem:

— Dziecko moje... nie opuszczaj mnie!

I zanim Maurycy zdołał go podtrzymać, padł zemdłony na podłogę.

## IV.

## NIEBEZPIECZNE SPOTKANIE.

W dwa tygodnie potem, w wagonie pierwszej klasy pociągu pospiesznego, jadącego z Wenecji do Mediolanu, siedziało sześciu pasażerów. Państwo Le Chars, pani Seymour i pan Mitre pośrodku Jacek i Made jechali do Paryża. Z podróży tych jeden pan Mitre wraz z dziećmi był zadowolony. Uśmiechał się do córki, którą wreszcie odzyskał, omal nie przypłacając tego swem życiem. Powrót do sił zawdzięczał mógł tylko państwu Le Chars, którzy zamiast odesłać go do szpitala, ulokowali w konsulacie, doglądając go jak najstarszannie. Joanna i pani Seymour, która podbiła sobie wszystkich swoją szczerością i prawością, były dla niego prawdziwymi siostrami miłosierdzia. Czuli, że w razie śmierci ojca, Made wpadłaby w ręce matki i poszła za jej przykładem. I teraz w drodze, patrząc na jego wychudłą, bezsilną postać, obawa je przejmowała, co się stanie wkrótce z tem uśmiechniętem radośnie dzieckiem.

Maurycy, siedząc na przeciwko żony, starał się zachować pogodny wyraz twarzy, mimo iż ciężkie myśli go trapiły. Poprzedniego dnia wypłacił hr.

Olovera przegrane dwadzieścia pięć tysięcy franków i teraz zdawał sobie sprawę ze wszystkich strat, jakie poniósł przy zielonym stoliku. Joanna, która od pewnego czasu coraz bardziej niepokoiła się smutkiem męża, błdziła myślą w tych czasach, gdy go po raz pierwszy ujrzała. Przypomniała sobie te straszne okoliczności, towarzyszące ich poznaniu: zamiana dzieci, rozpacz Aurory, podejrzliwość markiza, zniknięcie Wiery.

Od dziesięciu lat nie miała o niej najmniejszej wieści. Ostatni raz widziała ją w nocy przez ten otwór w ścianie, gdy Wiera przyjmowała jakichś tajemniczych postaćów. Potem jakby zapadła się w otchłań, nie dając o sobie znaku życia. Naprawdę Joanna chodziła do jej mieszkania; nikt tam nie wiedział, co stało się z doktorką.

Restauracja na ulicy Raynouard, w której Joanna spędziła noc, zamieniła się teraz na sklep korzenny, który był własnością innych osób, po garbatej zaś restauratorce nie pozostało nawet śladu. Do tajemniczego apartamentu, w którym Aurora powiła syna, nie mogła na żaden sposób trafić, przyjechała bowiem i wyjeżdżała z niego ciemną nocą. Jednym słowem Wiera okryła się tajemnicą, której Joanna nie mogła przeniknąć przez te dziesięć lat.

W czasie tych rozmyślań Joanny, pani Seymour zabawiła dzieci opowiadaniem przygody, która jej się zdarzyła w Apeninach. Jadąc pewnego razu w górach samochodem tylko z szoferem, została napadnięta przez trzech opryszków. Spotkanie to przypłaciłaby niechybnie życiem, gdyby nie miała z sobą cudownej parasolki, w ręczce której znajdował się maleńki motor elektryczny, o dość wielkiej sile. Opryszki pod dotknięciem się tej parasolki padali na ziemię bez czucia.

Dzieci spoglądały z szlachetnym podziwem na panią Seymour.

— Chciałbym widzieć pani samochód — odezwał się Jacek.

— I parasolkę także — dodała Made.

— Zobaczycie to, gdy przyjedziemy do Francji. Samochód oczekuje na mnie w Mediolanie razem z Doddym.

— Czy to pani szofer — zapytał Jacek.

— Szoferka — odrzekła, śmiejąc się pani Seymour.

— Jakto, to ona jest kobietą? — zadziwiła się Made.

— Tak, moje dziecko. W Ameryce kobiety robią wszystko, by zapracować na życie. Powiem wam, że ja także zdałam egzamin na szofera i mogę reperować swój samochód jak i Doddym.

— To niemożliwe! — zawołała Made.

— A przypuścimy, że Doddym zachorowała nagle w Apeninach, cóż jaby wtedy robiła?

— Tak, to prawda — potwierdził Jacek.

— Przytem Doddym nie jest Amerykanką, lecz Francuską, którą bardzo lubię za jej odwagę i szczerść.

Dzieci pozostały przez chwilę zamyślane, aż wreszcie Jacek przerwał ciszę:

— Mamusiu, czy mogę iść do Ludwika po winogrona; pić mi się chce bardzo.

— Pójdę z tobą — rzekła Joanna.

Przeszli przez długie korytarze wagonów do przedziału drugiej klasy, gdzie Ludwika, usadowiwszy się wygodnie, drzemała wśród całego stosu pakunków. Po wydobyciu z koszyka kilku gron, powracali tą samą drogą, gdy naraż Joanna zatrzymała się przed jednym przedziałem pierwszej klasy. Sądziła... Istotnie bywają dziwne podobieństwa... A jeżeli to istotnie ta garbata restauratorka z ulicy Raynouard, przyjaciółka Wiery, pani Berty. Lecz dlaczego jest tak elegancko ubrana według ostatniej mody, choć trzeba przyznać, iż ta toaleta daleko odpowiedniejsza była dla jej postaci, niż zużyte suknie, w których chodziła dawniej. W chwili tej zwróciła oczy na Joannę, lecz popatrzyła z zimną obojętnością, jak się patrzy na zupełnie obcego i nieznanego człowieka. Joanna zmieszana tem spojrzeniem, nie śmiała przyglądać się jej bliżej. Przed swym przedziałem spotkała męża, który wyszedł przejść się po korytarzu.

— Proszę zgadnąć — odezwał się po cichu — z kim mamy zaszczyt jechać? Wysoka osobistość incognito?

— Król włoski?

— Nie. Incognito to byłoby łatwo zdradzone.

— Z jakiego kraju? — zapytał pan Mitre. — Anglia? Niemcy?

— Wszystko nie to.

— Bułgaria? — dodała pani Seymour.

— Zgadła pani, wielki księżę X., na którego życie już tyle razy czynili zamach rewolucyoniści.

— Oby tylko jaka bomba nie wybuchła teraz — odezwała się pani Seymour.

Joanna przy tych słowach zbladła. Możliwość czegoś podobnego przestraszyła ją. Zwróciła się do męża:

— Pokaż mi go, chciałabym go widzieć.

— To bardzo łatwo. By nie zwracać na siebie uwagi, jedźcie tylko w wagonie salonowym, niestrzeżony zupełnie. Przechodząc, rzuć na niego mimowoli okiem.

Poszła za mężem: w oddzielnym wagonie ujrzała siedzącego w fotelu wysokiego, szczupłego mężczyznę, z ostrym długim nosem i żywych oczach. Na kolanach trzymał dziennik, którego nie czytał; przy nogach leżał wielki wspaniały dog.

Joanna wróciła zamyślona na swe miejsce. Zrodziło się w niej podejrzenie, czy obecność pani Berty — gdyż to z pewnością ona musi być — nie jest przypadkiem w pewnym związku z osobą wielkiego księcia.

Tymczasem dano znać, że już nadeszła pora obiadowa: wszyscy udali się do wagonu restauracyjnego z wyjątkiem tylko pana Mitre, który prosił o szklanek bulionu, o ile która z pań zechce mu ją przysłać. Podjęła się tego Joanna, która przeprowadziła osobiście chłopca restauracyjnego do przedziału. Wracając zauważyła, iż pani Berty siedzi na swoim miejscu. Joanna zawsze panująca nad sobą, nie mogła oprzeć się ciekawości i weszła do coupée.

— Proszę mi wybaczyć, jeżeli się mylę, lecz pani tak jest podobna do pewnej osoby, którą znam....

Dama ta popatrzyła na nią zimno i odpowiedziała uprzejmie:

— Widocznie jest to jakaś pomyłka, gdyż nie miałam jeszcze przyjemności widzieć pani.

— Przepraszam jeszcze, czy pani nie przypomina sobie ulicy Raynouard w Paryżu?... Przed dziesięciu laty. Powiedzieliśmy wtedy słowo, które mi zapewniło u pani dobre przyjęcie....

— Jakież to słowo?

— Veresno.

— Veresno? W jakim to języku? Słowo to nie mi nie mówi. Zapewne jestem do kogoś podobna tylko, nie więcej.

Mówiąc to, poruszyła się niecierpliwie, a twarz jej przybrała pewien specjalny wyraz. Po tem Joanna ją poznała: teraz była już pewną.

— Wówczas pani nazywała się Berty.

— Przepraszam, lecz ja pani wcale nie znam. Pani bezwzględność zmusza mnie do poproszenia o opuszczenie tego coupée.

Przy słowach tych podniosła się z miejsca.

— Niech pani mnie posłucha — odparła z przejęciem Joanna. — Ja tak kocham Wierę.... Pani drży! Ach ja wiedziałam, że to imię panią wzruszy. Czy ona żyje jeszcze? Gdzie się znajduje? Proszę mnie uspokoić. Już dziesięć lat jak jej szukam nadaremno....

— Ależ pani staje się natrętną — rzekła ostro garbata dama.

— Nie — zawołała żywo Joanna — panią zdradziło pani wejrzenie. Ja nie chcę nie wiedzieć, proszę tylko powiedzieć, czy Wiera żyje?

— Tak, a teraz niech mnie pani opuści. Pani mnie zgubi i siebie. Wiera żyje. Jeżeli uzna za potrzebne, to da pani znać o sobie. Niech pani nie staje w poprzek przeznaczeniu i zaraz stąd wyjdzie.

Joanna, poddając się bezwiednie temu rozkazowi, wyszła i wróciła do wagonu restauracyjnego, gdzie zajęła się dziećmi. Zaledwie zdążyła nałożyć im na talerze potrawy, gdy naraż rozległ się jeden i drugi huk. Wszyscy obecni wstrząśli się. W chwili tej wpadł blady jak trup, chwytając się na nogach pana Mitre i zawołał:

— Na pomoc! prędzej, na pomoc! Zamordowano księcia.

Wszyscy pobiegli do wagonu salonowego, gdzie leżał krwią zbрызany książę, a przy nim charczał z roztrzaskanym łbem pies.

Dwóch ludzi klęczało przy rannym, powtarzając bezmyślnie:

*Monseigneur! Monseigneur!*

Joanna zauważyła, że przedział, w którym jechała pani Berty, był pusty, drzwiczki zaś od wagonu salonowego znaleziono otwarte.

W kilkanaście minut potem wjechano na dworzec, obstawiony policją. Każdego pasażera poddano badaniu. Naszych podróżnych, dzięki urzędowemu charakterowi Maurycyego, puszczono wkrótce, tak iż po pewnym czasie mogli udać się w dalszą podróż.

Pani Berty zginęła. Telegrafowano na wszystkie strony, lecz nigdzie nie natrafiono na jej ślad.

Książę po powrocie do przytomności, opowiedział